

Z MYŚLĄ O JUTRZE - JÓZEF WRZESIŃSKI, 1986

WYBÓR TEKSTÓW

*Przekład z języka francuskiego (extraits de „Paroles pour demain”, 1986) – Tłumacz:
Tomasz Szymański*

Wolontariacka „włóczęga”

Nowa sprawiedliwość na miarę naszych czasów?
Czy nie jest nią sprawiedliwość, którą świat taki jak nasz narzuca sobie,
wysyłając niektórych swoich członków,
by żyli wśród najuboższych?

Znam wielu przyjaciół, którzy się zniechęcają,
kiedy stają wobec tego wymogu
dyktowanego przez nędzę Czwartego Świata.
Ponieważ nie mogą porzucić swoich projektów,
zaangażowań, interesów,
ani ciągnąć za sobą swych rodzin
na osiedla najbiedniejszych.
Jednak pozostają oni oczywiście cennymi współpracownikami.
Jeśli przynajmniej tam gdzie żyją
przypominają oni o kondycji najuboższych,
jeśli wskazują na ludzką odpowiedzialność
tam, gdzie rodzi się rozpacz;
jeśli przypominają, że jedynie dzieląc się wszystkim,
ludzie zdołają unicestwić nędzę.
Pozostają cennymi współpracownikami.
Cennymi ze względu na głębokie oddanie,
na ich wkład w postaci czasu i wiedzy,
znajomości i środków.
Gdyż pozwalają innym
zanurzyć się wśród mas ubogich,
być przy tych, którzy mają do tego prawo.
Znam wielu naszych przyjaciół, którzy niepokoją się
i cierpią, ponieważ ich dzieci, stawszy się wolontariuszami,
żyją pośród najuboższych
niwecząc w ten sposób projekty i nadzieje,
które oni z nimi wiązali,
nie otrzymując w zamian nic prócz zależności
od losu tego nieszczęśliwego ludu.
Inni znajomi wyrażają swój bunt i strach
i nie dopuszczają myśli,
by dzielenie podobnego losu było możliwe.
Gdyby jeszcze chodziło, powiadają, o przyłączenie się
do klasy robotniczej,
by dać wyraz swej walce o większą sprawiedliwość,

byłoby to jeszcze zrozumiałe.
Wpisywałoby się to przynajmniej w tradycję humanitarną,
która w ciągu wieków
popychała tysiące mężczyzn i kobiet do porzucenia wszystkiego,
do dzielenia wszystkiego z UBOGIM par excellence,
z człowiekiem, dla którego praca jest wszystkim co posiada.

Jałmużna, wzajemne wsparcie, sprawiedliwość, związki robotnicze,
wszystko to wiąże się z podstawowym dążeniem do postępu ludzkości,
w obliczu świata pracowniczego wszystkich czasów,
wyrazem jednej i tej samej ewolucji oraz wprowadzania społecznych przemian –
ekonomicznych, gospodarczych czy politycznych –
mających na uwadze ludzi, chłopów lub robotników miejskich,
którzy dziś tak jak i wczoraj
mogą stracić pracę, zdrowie, środki do życia,
lub nie otrzymać słusznej zapłaty za całe ich staranie o siebie i najbliższych.
Przyłączenie się do ubogich ze wszystkich środowisk,
którymi są staruszkowie, niepełnosprawni i sieroty
wchodzi w zakres tego, co dopuszczalne.
Oni mają prawo do tego, by niektórzy wszystko pozostawili,
aby być przy nich i kochać ich.

Ale czy można – dzisiaj jak i w przeszłości –
dzielić życie i cierpienie
potomków „żebraków” i „włóczęg”,
„członków owych niebezpiecznych klas”,
o których mówiono już w zeszłym stuleciu?
Czy można przywracać nadzieję temu Czwartemu Światu,
który nie może zaoferować nawet rąk do pracy jako ceny sprawiedliwości!
Nie! Gdyż oznaczałoby to zbyt daleko wykroczyć poza granice dzielenia.
Tak tłumaczy się niezrozumienie,
którego doświadcza większość wolontariuszy Ruchu
ze strony bliskich lub znajomych.
Dziela oni w tym los tych wszystkich, którzy w ciągu wieków
byli nierozumiani i odrzucani ze względu na cały ten tłum biednych –
wszystkich Nazarejczyków, którzy ztratili się
na nizinach społecznych z tymi ludźmi,
od których nie można już nic wyciągnąć w zamian za tyle trudu.
To prawda, że nigdy nie umieliśmy odpowiedzieć na pytanie:
„Na co macie nadzieję?”, „Czego oczekujecie?”,
„Czemu to wszystko ma służyć?”.
No bo co mogą ci wszyscy Janmoci, Verbale, Armandzi,
wszyscy ci przyjaciele zużyci przez nędzę,
umiejący ledwie czytać i pisać,
którzy nigdy nie mieli żadnego zawodu,
i których dzieci podążają tymi samymi ścieżkami,
w tej czeluści gdzie nawarstwienie
nieszczęść i ludzi jest takie,
że nie wiadomo czy jeszcze jest się człowiekiem.
Jest zrozumiałe, że można stąd tylko uciekać...

I któż z nas któregoś dnia nie uciekł?
W tym zamknięciu gdzie tylko przemoc pozwala
wypowiedzieć to, co nam leży na sercu,
któż z nas nie odczuł strachu?
Ile razy zdarzyło nam się opuścić tych przyjaciół,
których staraliśmy się na próżno zrozumieć,
od których oczekiwaliśmy jakiegoś sensownego słowa, braterskiego okrzyku...
a którzy zasypywali nas wyzwiskami i odzierali nas ze złudzeń.
Ile razy ogarniał nas strach przed nimi
choć sprawialiśmy wrażenie spokojnych gdy braliśmy na siebie ich ciosy?
Ile razy wracaliśmy do nich pełni obaw,
wiedząc aż nadto dobrze, że znowu ujrzymy płaczące dzieci,
zrozpaczone matki i rozgoryczonych ojców.

A jednak nie opuściliśmy ich osiedli.
Wiedzieliśmy dobrze,
że dla tych „ubogich we wszystko”:
wykształcenie, kulturę, pracę, dobra materialne i władzę...
nasza obecność i solidarność były prawem,
które prędzej czy później zostanie im powszechnie przyznane.
Że nie mogliśmy o nic prosić w zamian,
że od tych „prawdziwie ubogich” zależy nasze życie
i nasza przyszłość,
podobnie jak dziecko ma prawo do tego, by jego matka żyła.
Musieliśmy tu pozostać
aby uczynić wiarygodnym w oczach najuboższych nasz świat
oraz – cokolwiek by o nim nie mówić – całą jego sprawiedliwość i miłość.
Nasz świat, który – co by o nim nie mówić –
dąży do przyjęcia człowieka opuszczonego,
do objęcia tego, który jest osamotniony,
do poszanowania człowieka ośmieszonego,
do przywrócenia praw najbiedniejszym
i do nakazania miłości.

Bo czas nagli byśmy zrozumieli

Wczoraj rano przeglądając pocztę,
znalazłem list od Marie-France,
dwudziestoosmioletniej wolontariuszki,
która od pięciu lat wszystko opuściła dla nich –
dla najuboższych.

Po jego przeczytaniu zadumałem się.
W głębi mego serca wzbierało
dwadzieścia lat trudów, cierpień i modlitwy,
które miały służyć temu, by poznano mój lud.
Dwadzieścia lat zmęczenia, wyczerpania, by poprawić jego sytuację,
zmobilizować przyjaciół, którzy zamiast oskarżać
i osądzać, zrozumieliby i zaakceptowali najuboższych
takimi jacy oni są,
takimi jakich ukształtowała ich egzystencja, zniechęcenie,
oraz nasz egoizm, nasza gnuśność i niesprawiedliwość.

Mówiłem sobie: „Trzeba przekazać ten list naszym przyjaciołom”.
Istotnie, przypomniałem sobie tylu młodszych i starszych ludzi,
którzy nie potrafili znieść tego, na co patrzyli,
którzy nie mogli zaakceptować
tych wszystkich zmian w swoim życiu, których wymagało
zaangażowanie, aby wyzwolić najbiedniejszych z ich kondycji.

Bogatyh młodzieńców, którzy odchodzili zasmuceni.
Ludzi dojrzałych, którzy nie potrafili opuścić
utartych schematów, stereotypów, wykształcenia, warunków czy interesów...

Stanęli mi również przed oczami ci, którzy za mną poszli,
którzy postanowili wszystko pozostawić,
ze względu na to, że gdzieś,
schowane w ruderach i na prowizorycznych osiedlach,
za murem obojętności związków zawodowych
i partii politycznych,
za murem zwątpienia kościołów i urzędów,
całe rodziny, określane dzisiaj jako „ciężkie przypadki”,
żyją w nędzy i odarci z godności.

To na cześć tych rodzin,
na cześć tych, którzy się z nimi zjednoczyli,
przekazuję list od Marie-France.

„Od kilku dni jestem ze swoją rodziną... Od pięciu lat nie pozostałam dłużej niż jeden dzień z moimi bliskimi, więc jest to wielkie wydarzenie. W ciągu pięciu lat nic się nie zmieniło a jednocześnie zmieniło się wszystko: rodzina się powiększyła, młode małżeństwa budują domy, rodzice przygotowują się do emerytury, kuzyni rozpoczynają lub kończą studia w

„grandes ecoles”, bratankowie zaczynają chodzić do szkoły podstawowej. Rodzinę otaczają nowi znajomi...

Jednak wciąż spotyka się tutaj to samo niezrozumienie w stosunku do najuboższych. O tych, którzy pracują i którzy są czyści jeszcze jest się skłonny posłuchać. Ale kiedy wychodzi się poza te dwa zapewnienia, już nie wiadomo o czym lub o kim się mówi. Słyszysz się: „A my jak sobie dajemy radę? Są tacy, którzy z tego korzystają! Oni nie powinni mieć dzieci...” Kiedyś trzeba będzie wreszcie móc to wszystko zrozumieć.

A przecież ludzie jak ci z mojej rodziny są w większości działaczami, pracują nad ożywieniem życia miejskiego, organizują imprezy, zebrania rodziców... Walczą o alfabetyzację lub w obronie niepełnosprawnych. Ale we wszystkich tych kategoriach trzeba zasłużyć sobie na wyróżnienie. Kiedy myślę o tych ludziach, którzy przyjęli mnie w Noisy – o izolacji, w której tkwią, o niewiedzy, która skazuje ich na nieumiejętność słuchania – często ogarnia mnie strach, bo czas nagli byśmy zrozumieli”.

Wiedziały, że ich rodzice się kochają

To wisiało w powietrzu od długich miesięcy.
Sytuacja tak się pogorszyła,
że mężczyzna nie mógł już dłużej jej znieść:
bezrobocie, głód i domowa rozsypka były dla niego istnym upokorzeniem.
Pewnego dnia odszedł, i od trzech tygodni
był na ulicy „z inną”, jak wyrażali się sąsiedzi;
„a może jednak nie”, odpowiadała żona.

Tego wieczoru wrócił po swoje rzeczy.
Powiadomiony przez sąsiadów przybyłem i stałem tam,
w bałaganie na środku pokoju.
Nikt ze sobą nie rozmawiał.
Dzieci wchodziły na rozpruty fotel, popychały się,
przewracały się na podłodze i tak w kółko.
On, który był głową domu, wkładał bezładnie swoją bieliznę
do dwóch otwartych walizek położonych na stole.
Wszystko to wydawało się groteskowe: fotel, dzieci,
ojciec, stół, walizki i bielizna.

Nie mogłem znaleźć żadnego słowa,
które odpowiadałoby ogromowi jego wstydu, a ich nieszczęścia.
Wiedziałem, że to kolejne odejście nie jest żadnym wyjściem.
Byłem pewien, że czeka on aż żona i dzieci
poproszą go, aby został.
Ale oni, podobnie jak ja, nie śmieli się do niego odezwać.
Nasza intuicja ludzi ubogich przeczuwała,
że słowa zniekształcają uczucia, osłabiają ich siłę,
i prawie zawsze je niszczą.

Na koniec objąłem go
i przytuliłem do serca bardzo, bardzo mocno...
Żeby poczuł jak bardzo go kochamy.
Wtedy kobieta, schowana w cieniu,
wyszła z głębi pokoju.
Jak zranione zwierzę schroniła się tam,
aby ukryć swój smutek, swoją samotność i nędzę.
Jej twarz była rozgniona, spuchnięta i zniekształcona, ale tak piękna,
jakby w nieszczęściu twarz nędzarzy
zachowywała jakąś nieokreśloną dumę,
pragnienie życia i kochania.

Wskazując na dzieci powiedziała po prostu:
„Już od trzech dni szafka jest pusta...
O nic nikogo nie prosiłam”.
Oskarżała w ten sposób fakty i bolesne sprawy
w krótkich ciętych zdaniach.

„Przyszedł zabrać swoje rzeczy. Znów odchodzi,
Co z nami będzie?”
Nie zwracała się ona do mnie,
ale pośrednio do niego.
Przez cały czas ścisnąłem rękę mężczyzny.
Siódemka dzieci w dalszym ciągu kręciła się w swoim kącie.
Wokół tego stołu, przy którym rozgrywała się przyszłość rodziny,
wszystko mogło wzbudzić poczucie dramatu:
skargi kobiety, obojętność dzieci,
milczenie poniżonego mężczyzny...

„Zostanie, rzekłem do niego, inaczej przecież by nie wrócił”.
Zaprowadziłem ich do kuchni, gdzie nie było
śladu żywności, nie unosił się żaden zapach gotowania.
Ostatnimi czasy dzieci wszystko wybrały,
wyskrobały szafki do samego dna,
tak że główna część posiłku
przeniosła się od nich do sąsiadów.
Ci ostatni przyjmowali je na zmianę
i karmili ubolewając nad odejściem mężczyzny.
Obarczali winą to jedno, to drugie,
tak jakby nie istniało bezrobocie,
jakby głód nie skręcał im kiszek,
jakby nigdy nie naszedł ich wstyd.

Teraz milczenie zostało przerwane.
Byliśmy tak ze sobą, jeden stał, drugi siedział:
„Ja też cierpiałem”, powiedział mężczyzna.
„A my?” rzekła kobieta.
On na to: „Pracowałem”.
„Więc masz pieniądze?” Nie odpowiedział.
Nagle zrozumiała, że jeśli ponownie odejdzie,
ona zostanie tam sama bez pieniędzy,
że będzie musiała błagać, cokolwiek by teraz nie mówiła,
że będzie zebrała, choć temu zaprzecza,
byle tylko dzieci miały co jeść.
Wtedy wybuchła szlochem:
„Czy Ty wiesz, że sprzedałam puszkę groszku żeby do Ciebie napisać?”
Ta puszka była symbolem, krzykiem rozpaczki,
znakiem wsparcia sąsiadów, którzy jej ją ofiarowali.
Jej sprzedanie objawiło niepojętą miłość
odsuwającą głód, cierpienie i wstyd na ostatni plan.

Znowu zapadła cisza.
Wszystko zostało powiedziane. Żadne słowa nie były już potrzebne.

Kiedy wychodziłem od nich, wiedziałem że on już nie odejdzie,
że teraz jest już dostatecznie silny,
by znosić drwiny sąsiadów,
gdyż jedno i drugie na nowo obdarzyło się miłością.

U progu drzwi
mała siedmiolatka trzymała mnie za rękę,
poklepywała mnie tak, jakby chciała powiedzieć „dziękuję”.
A ja wciąż myślałem o tej puszcze groszku,
sprzedanej za niewiele więcej niż franka po to, by kupić znaczek,
by napisać do mężczyzny uciekającego od rodziny,
by powiedzieć mu żeby wracał, bo cały czas jest kochany.
Czy to wyznanie miłości zostało zrozumiane przez dzieci?
Wierzę, że tak.
Zresztą nie potrzebowały one tego dowodu:
one wiedziały od samego początku,
że ich rodzice się kochają.

Jaka tajemnica, o której nawet nie mamy pojęcia,
kryje się w sercach ubogich?
Jaka miłość może do tego stopnia ich jednoczyć?

Każdy gest miłości jest źródłem nadziei dla ubogich

Dzieci otaczają Georgette,
tulą się do niej,
są jak fiołki skrywające się w mchu.

Jedenaścioro malców.
Jacques mówi: „Zimno mi”, a Claudine: „To brzydkie”.
Tym, co jest brzydkie, jest osiedle, które burzą,
barak po baraku.
Maluchy nienawidzą to osiedle z głębi serca.
Zawsze było im tu zimno, zawsze było ono brudne.
Nawet kwiaty posadzone wzdłuż gipsowych ścian
wydawały się brzydkie.
Ale dzisiaj jest jeszcze gorzej.
Każdy zniszczony barak wrasta w krajobraz,
pozostawiając po sobie wielką dziurę,
tworząc stos gruzu, zbutwiałych desek,
blach wystających to tu, to tam...

Dzieciaki tego świata się boją!
Nic dziwnego, że nienawidzą one swego osiedla.
Na szczęście jest tata, mama, są bracia i siostry.
Chociaż nie zawsze ich lubią...
Na szczęście ze zwierzętami, z psami i kotami,
jest inaczej, żeby nie wiem jak były wymarniałe.
Na szczęście jest Georgette.

Bo w tym dziwnym świecie, w całym tym chaosie,
Georgette dalej prowadzi swoje przedszkole, a nawet
postanowiła dać z siebie jeszcze więcej niż kiedyś!
Każdego ranka chodzi od baraku do baraku,
wśród nagromadzonych odpadów
i gruzów, które leżą tak
już od dawna.
Idzie ona po każde dziecko pod jego dom.
Czeka aż będzie gotowe,
pomaga mamie ubrać je kiedy jest taka potrzeba.
Pociesza małą Rositę, którą tak bardzo przeraża cały ten bałagan,
że boi się wyjść z domu.
Na Rositę czyhają też różne niebezpieczeństwa:
jej mały braciszek dostał ciężką deską w stopę,
leży o tam na łóżku.

Dla Georgette, każdego dnia
wszystkie jedenaścioro dzieci muszą być obecne.
Nie chce stracić dzisiaj żadnego z nich,
ale przede wszystkim nie chce, by jutro

były one wynędzniałe tak jak teraz.
Georgette często powtarza:
„Nie można dopuścić do tego, żeby przez cały ten bałagan
przystały one myśleć.
Muszą wciąż spotykać się razem aby nabierać pewności.
Przedszkole musi być piękne,
jeszcze wspanialsze niż przedtem i musi z niego naprawdę bić ciepło”.
Jednak wcale nie jest to proste.
Ostatnimi czasy zniszczono barak znajdujący się obok przedszkola
i gipsowe ściany się rozsunęły!
Stwierdza ona: „Muszą dostawać dobry podwieczorek,
lepszy niż kiedyś, bardziej obfity.
Niszczenie ich świata nie może wywołać w nich urazu”.

Widzimy ją jak przechodzi przez osiedle będące w trakcie rozbiórki.
Rozbiórki trwającej już od kilku miesięcy.
Otoczona swoimi malcami, wydaje się między nimi bardzo duża.
Podąża ze swoim małym światkiem sąsiadującymi ulicami,
tam gdzie wszystko pozostało jak dawniej,
gdzie drzewa rosną prosto i radośnie,
gdzie kwiaty cały czas się uśmiechają.

Na koniec roku, Georgette wygrała swój zakład,
pomimo buldożerów, pomimo zniszczeń i strachu.
Testy wykazały, że żadne z dzieci
nie zatrzymało się w rozwoju,
a te, które osiągnęły odpowiedni wiek
mogły iść do pierwszej klasy.

Czy te dzieciaki będą pamiętały o Georgette?
Czy będą pamiętały o tym, ile potrzebowała ona wyobraźni, czułości i odwagi
aby nadludzkim wysiłkiem utrzymać je ponad całym tym zamętem?
Być może zapomną o Georgette,
ale tyle miłości nie może pójść na marne.
Jutro staną się mężczyznami i kobietami,
a jeśli ich drogi ponownie się skrzyżują, powiedzą być może:
„Oto ta, dzięki której polubiliśmy szkołę”.
A wszystko to dlatego, że ktoś
przekroczył swój wstręt i swój strach,
i w swojej rewolcie poszedł do końca, by móc jeszcze bardziej kochać.

Najważniejsze w życiu to być kochanym

Z okazji dwudziestej rocznicy powstania Ruchu,
rodziny Czwartego Świata spisały w zeszytach
historię swojego życia.

Uczyliły to w nadziei, że ci którzy przeczytają te strony
zechcą im pomóc w uwolnieniu się od przytłaczającej je nędzy.

Rodziny nazwały te zeszyty

„Zeszytami solidarności”.

Mogłyby również mianować je

„Zeszytami zaufania i nadziei”.

Posłuchajmy tej kobiety:

„Wychowałam piątkę dzieci, a dodatkowo brata i siostrę.

Teraz mam 44 lata, jestem zchorowana,

nie otrzymuję żadnej pomocy od gminy,

żyję w baraku bez światła gdzie są szczury,

bez żadnych szans na zamieszkanie w domu...”

I jeszcze innej:

„Całe dzieciństwo spędziłam pośród ludzi,

którzy nie byli moją prawdziwą rodziną.

W ciągu szesnastu lat,

nie miałam możliwości ujrzenia ponownie swoich rodziców”.

Czy nie jest czymś przerażającym, dla tego człowieka, przedwcześnie zestarzałego
pisać na temat swojego zmarłego ojca:

„Nie mieliśmy pieniędzy,

musieliśmy zebrać u sąsiadów

żeby miał przyzwoity pogrzeb.

To prawda, że sprawił mamie dużo bólu,

ale ojciec był moim ojcem i już nim pozostanie”.

Albo ta kobieta, która wyznaje:

„Kiedy byłam malutka,

szukaliśmy ubrań po śmietnikach.

Praliśmy je i nosiliśmy.

Inne dzieci były ładnie poubierane,

śmiały się ze mnie,

mówiły, że jesteśmy do niczego.

Kiedy szliśmy na mszę w niedzielę,

widzieliśmy, że inni byli dobrze ubrani, wstydziliśmy się”.

Uczucie wstydu: „To było u sklepikarza,

udzielał nam kredytu,

ale kiedy próg świadczeń rodzinnych został osiągnięty,

nie chciał nam dawać żywności,

i wtedy nie mieliśmy nic do jedzenia.

Przez siedem do dziesięciu lat chodziłam od drzwi do drzwi,

prosić o kromkę chleba.
Dawano mi kawałki maczane w sosie.
Ale ja zawsze miałem nadzieję, że ktoś da mi prawdziwego chleba”.

„Miałam nadzieję”, powiada!
Rzeczywiście, niełatwo jest zabić nadzieję,
nawet kiedy jest się obciążonym życiem dorosłych.
„Nigdy nie nauczyłam się śmiać,
miałam zbyt dużo obowiązków kiedy byłam małą dziewczynką.
Kiedy miałam 7 lat, mama poroniła.
Tylko ja byłam wtedy w domu. I to ja musiałam jej pomóc”.

Zdawałoby się, że poprzez historie tych setek skrajnie ubogich ludzi,
to jeden i ten sam ród
i cały tłum ludzi
przemawia do naszych serc:
„Nie umiem czytać. Kiedy kupuję gazetę
tak jak dzisiaj rano żeby znaleźć pracę,
muszę prosić kogoś innego.
Dziś nie znalazłem nikogo do czytania,
podarłem gazetę, nie mogła na nic się przydać”.

Historia w czasie przeszłym, która powtarza się w naszej teraźniejszości.
„O przeszłości nie powinno się więcej rozmawiać, pisze mężczyzna,
ale dlatego że w pewnym momencie mojego życia, sześć lat temu,
nie mogłem odpowiednio odżywiać swoich dzieci,
dzisiaj jeszcze się to wypomina mnie i mojej żonie,
i to nie pozwala nam się podnieść.
Chciałoby się znowu wyjść na prostą, próbuje się,
ale co zrobić?”
„Kiedy jesteś na skraju przepaści
a nikt nie podaje ci ręki,
nigdy nie uda ci się wyjść samemu,
nawet jeśli masz dobre chęci.
Czasami ma się wrażenie,
że cały czas spycha się nas na samo dno!”

I tak mężczyźni i kobiety piszą strona po stronie:
„Nam samym nigdy się nie uda”.
A przesłanie to staje się wezwaniem:
„Chcemy żyć i pracować jak wszyscy,
a przede wszystkim chcemy,
żeby nasze dzieci nie musiały znosić takiej nędzy”.
Wezwaniem do zrywu solidarności:
„Nie chciałbym, żeby inni kiedykolwiek
przeszli przez to, co ja”.

Żyć tak jak wszyscy, to znaczy:
„Żeby moje dzieci miały jakąś przyszłość, pracę,
i żeby nie musiały cierpieć tak jak ja.

Mam nadzieję, że mój zuch pójdzie do pracy w wieku 18 lat
a nie w wieku 12 lat tak, jak to było ze mną –
na ulicach, w hotelach, na wsi,
nie mając nic do jedzenia od rana do wieczora”.

Oznacza to jeszcze jedno:

„Nie być odrzuconym przez innych, nie czuć się osamotnionym,
ale wiedzieć, że ktoś nas kocha,
bo w życiu to jest właśnie najważniejsze”.

Wiesz co, Mamo, lubię Cię bardzo!

Przypominając sobie tego smyka, który powiedział mi pewnego dnia:

„Wiesz co, lubię bardzo swoją mamę”,
pomyślałem, że nie wymyślił tego ot tak,
że to od dawna już chodziło mu po głowie,
a teraz chciał to wypowiedzieć.

Pamiętam, że płakał w szkole.

Nie przed wszystkimi, oczywiście!

ale sam zaszyty w swoim kącie.

Płakał,

ponieważ nie rozumiał, o czym mówiono dokoła niego.

Zresztą rzadko zdarzało się, żeby cokolwiek rozumiał w szkole.

Jak mógłby rozumieć?

W klasie nie mówi się nigdy o pracowniczce socjalnej,

która przychodzi do mamy i której on się boi,

nie mówi się o jego małej sąsiadce, którą oddano do domu dziecka,

o matce, która ubliża jego własnej mamie,

bo zabrano jej dzieci!

„Wiesz co, lubię bardzo swoją mamę”,

powiedział tak, jakby głośno myślał.

Dlaczego jednak w szkole nigdy nie mówi się

o tym, że właśnie mają wypłacać zasiłki,

ani o glinach, którzy bez przerwy przyjeżdżają na osiedle,

ani o tych wszystkich ludziach, którzy są chorzy, tak jak jego ojciec,

i którzy nie mogą pracować?

W szkole wszystko wygląda jak na pocztówce,

nic się nie rusza, jakby było zamrożone.

Dlaczego za skrywanymi łzami myśli o swoim ojcu,
a także o matce?

Czy nie dlatego, że przed chwilą na podwórzu,

inni powiedzieli mu:

„Twój brat jest złodziejem”?

To prawda, bo wziął samochód żeby się pobawić.

Dlaczego jego koledzy są tak złośliwi?

Dlaczego śmieją się z powodu jego ubrania?

Ktoś mówi: „Ja wyjadę na wczasy”.

„Moje wakacje będą wspaniałe”, dodaje ktoś inny.

„Pojadę nad morze”, mówi ten,

„Pojadę na kolonie”, mówi tamten.

Jakiś malec woła: „Pojedziemy do mojej babci”.

Opowiada o cielętach, koniach, kaczkach...

Siedząc w ławce dziecko myśli sobie: „Więc musi być piękna”.

Widzi łąki, drzewa.

Dla niego krowy muszą być niebieskie,
muszą być pomalowane na niebiesko!
Czemu widzi krowy?
Krowy w kolorze błękitu,
w kolorze oczu jego matki?
Kiedy będzie dorosły, ożeni się z dziewczyną
o wielkich błękitnych oczach.

Nauczyciel przerwał jego marzenia!
Zadał mu jakieś pytanie a on dobrze nie usłyszał,
nie zrozumiał.
Pochyla głowę, nie śmie popatrzeć dokoła,
bo domyśla się, że koledzy i koleżanki z klasy
ostrzeliwiają go spojrzemiami, a ich oczy bynajmniej nie są błękitne...
„Odpowiesz wreszcie?” mówi nauczyciel.
On wstydzi się i milczy. „Osioł jesteś czy co?”
Jak bardzo nienawidzi szkoły!
Tej szkoły, w której nigdy nie mówi się o niebieskich krowach.
Tej szkoły, w której on nie potrafi się uczyć,
szkoły gdzie jest kimś obcym, gdzie nie czuje się u siebie,
gdzie nie jest na swoim podwórku, na swoim osiedlu.
Jak bardzo jest nieszczęśliwy! Chciałby zniknąć,
uciec daleko stąd, z tego miejsca, o którym ojciec
często mu mówił:
„Tracisz czas, szkoła niczego cię nie nauczy,
nawet czytania czy pisania”.
Jego ojciec, który często powtarzał:
„Kiedyś szkoła nie była taka.
Kiedyś czegoś można było się nauczyć...”

„To dziwne, myśli dziecko,
on też nie umie czytać ani pisać.
Biedny tata! Który umie się tylko podpisać, a mama...”

„Wiesz co, mamó, lubię Cię bardzo”.
Ona też niewiele nauczyła się w szkole.
Mówi czasem, że nie miała czasu tam chodzić...
Ale tata, czemu on się nie nauczył?
Dużo tych pytań! Na które nie potrafi odpowiedzieć...
Czerwony ze wstydu, siada z powrotem.
Siada i znowu widzi błękitne krowy,
Błękitne krowy w sam raz na wakacje, i błękitną trawę,
i niebo błękitne jak oczy jego matki.
Ale te wakacje! Czemuż to myśli on o wakacjach?
Czy nie dlatego, że matka mu powiedziała:
„Nie ma pieniędzy, nie pojedziesz na kolonie”?
Oto dlaczego myśli o wakacjach.
„Nie mogę wysłać ich wszystkich, stwierdził ojciec,
w tym roku jest kolej na młodszych”.
Dlatego, zaszyty w swoim kącie i zagubiony, zamknięty w swoim świecie,

znowu zaczyna rozmyślać.
Widzi jak wszyscy jego koledzy wyjeżdżają,
a on sam zostaje na osiedlu,
bez kolegów, bez śmiechów, bez łąk oraz błękitnych krów.
Słyszy jak cały świat śmieje się i śpiewa.
Ale on, czym będzie się zajmował?
Jakimiś głupotami. Będą na niego krzyczeć i bić go...
Może przyjadą gliny, albo pracowniczka socjalna...
Nagle ogarnia go strach! A jeśli wezmą go do domu dziecka!

Lekcje się skończyły, ucieka, wraca do domu.
Wyobrażam go sobie, jak rzuca się na szyję zdziwionej matce,
wykrzykując:
„Mamo, lubię Cię bardzo, wiesz!”

Bo moje serce jest za małe...

W Noisy, na jednym z osiedli, stała wolontariuszka Ruchu przygotowuje się do świętowania Bożego Narodzenia ze swoimi dziećmi. Ale jak można przygotowywać się do Świąt w świecie biedy?

Pisze ona:

Piątek 23 grudnia,
nadszedł czas by wprowadzić Boże Narodzenie do swojego serca...
Dzwoni telefon. To merostwo:
„Jest u mnie w biurze rodzina Léonów, mówi pracowniczka socjalna, zna ją Pani, prawda?
Ich rodzice byli na osiedlu kilka lat temu.
Są na ulicy,
z trzymiesięcznym dzidziusiem i dwuletnim dzieckiem.
Czy może Pani ich wziąć?”

Trzymając słuchawkę przy uchu, myślę o Smitach,
którzy codziennie mi się naprzykrzają.
To już przeszło miesiąc jak ci z HLM-ów obiecali ich zakwaterować i wciąż nic.
W międzyczasie urodziło się trzecie dziecko.
Ponieważ szwagier nie mógł ich wziąć do siebie,
wylądowali u znajomych jeszcze biedniejszych od nich samych.
Dzisiaj popołudniu przeprowadzono ankietę
u tych, którzy ich przyjęli:
„Jeśli nie macie gdzie mieszkać,
to dzieci zostaną wam zabrane”, powiedziano im.

A więc Boże Narodzenie to również Smitowie, którzy mogą stracić swoje dzieci?
I Léonowie, którzy są na ulicy?

Następnie udaję się do rodziny Prieur-Soudri,
by oferować im nowe zabawki,
od dzieci z Chelles.
Umawiamy się, że zabiorę popołudniu Panią Prieur,
żeby wybrała zabawki.
Rodzina dopiero co wprowadziła się na osiedle;
dzieci śpią na podłodze na dywanie.
W jednym z pokoiów
widać stos kartonów.
Salon jest pusty, oprócz ozdobionej choinki stojącej na samym środku.
Panuje radość!
Powróciły dzieci, które zostały odebrane gdy rodzina żyła
na swojej zbutwiałej szalupie:
„Już ich nie oddam, skoro już mamy mieszkanie”.

Jednak popołudniu Pani Prieur musi iść do szpitala.
Mąż ją pobił, ponieważ zamierza on sprowadzić

inną rodzinę, by mieszkała razem z nimi.
Ona się nie zgodziła. Ale mąż,
który od piętnastu lat żył ze swoimi dwunastoma dziećmi na 9m²,
uważa, że w M-5 spokojnie mogą zamieszkać dwie rodziny.
Ona także prawdopodobnie trafi na ulicę w Święta Bożego Narodzenia!

Pani Bouiller przychodzi do mnie do biura:
„Państwo Nogué znowu wrócili.
Tym razem stracili mieszkanie i pracę.
Musiałam odmówić przyjęcia ich, więc są u Grimberów”.

A oto pojawia się Pani Vergnier w letniej sukience,
ma na sobie jedynie wełnianą kamizelkę.
W Bobigny, gdzie została przekwaterowana,
ucięto jej rodzinie wszelką pomoc finansową,
nie mogła już dalej pracować w szkołach w Noaille
ze względu na odległość,
a merostwo odmówiło jej zatrudnienia, bo nie jest do tego uprawniona.
Jej mąż musi odbyć dwa badania lekarskie
aby został uznany za inwalidę.
Po dwóch latach bezrobocia ogłoszono go
niezdolnym do pracy przez ANPE (francuski Urząd Pracy – przyp. tłum.).
Jednak urzędnicy, podejrzewając go o „wymigiwanie się”,
odebrali mu zasiłek dla bezrobotnych.
Odmówiono im świadczeń miesięcznych
i grozi im anulowanie świadczeń rodzinnych.
Odmawia się im również darmowej opieki zdrowotnej:
„Pomyślcie no, jacy symulanci! Wystarczy, że wezmą się do roboty!”
W domu była piątka dzieci.
Od trzech tygodni żywią się kawą i kluskami.
A jutro jest Boże Narodzenie...
Nathalie przysłała mi pokazać prezent gwiazdkowy,
„dla dzieci osób bezrobotnych”, który otrzymała od merostwa:
mała paczuszka plasteliny i książka ze zwierzętami.

Wśród korespondencji jest list
od starszego małżeństwa pogrążonych w nędzy rolników.
Dzwonię do *Vie Catholique*,
żeby zaproponować ten temat jednej z redaktorek, mojej bliskiej przyjaciółce.
Jednak tutaj także po drugiej stronie słuchawki
słyszę załamany głos:
„Straciłam osiemnastoletnią córkę piętnaści dni temu”.
Święta, święta, gdzież się podziewacie?

A jednak dwudziestego czwartego wieczorem, na osiedlu,
odbywa się mimo wszystko czuwanie, pełna okrzyków i radości.
A później pasterka.
Kaplica jest wypełniona,
tak jak nie była już od lat.
Na początku mszy ochrzczono siedmioro dzieci,

a wszyscy byli bardzo skupieni.
Ale nagle Pan Roland i jakiś młody człowiek z osiedla
wychodzą z hukiem żeby bić się na zewnątrz;
połowa ludzi opuszcza kaplicę,
by przyjrzeć się widowisku.
Córeczki Rolanda płaczą ponieważ wiedzą,
że bójki ojca kończą się biciem matki,
a potem przyjeżdża policja.
A przecież Pan Roland nic nie wypił,
całą wigilię spędził z nami.
Udaje się w końcu uniknąć najgorszego,
uspokoić i rozdzielić przeciwników,
a kaplica ponownie się zapełnia i msza odprawia się dalej.

Przy wyjściu, pewien człowiek,
spośród najbardziej pograżonych w biedzie, mówi do mnie z poczuciem dumy:
„Uniknęliśmy bijatyki, to są właśnie Święta!”
Wspaniale jest dostrzec Boże Narodzenie
na samym dniu nędzy!

W poniedziałek dwudziestego szóstego, kończę pakować walizki,
wyjeżdżam z dziećmi do teściów.
Telefon dzwoni po raz kolejny:
„Rodzina Santerów przybyła z dwoma małymi:
niemowlęciem i osiemnastomiesięczną dziewczynką.
Są na ulicy, merostwo przekazało ich mansardę
innej bezdomnej rodzinie”.
Są jeszcze Państwo Paulin, którzy czekają
w swoim nieogrzewanym baraku:
„Gotuję pościel żeby było cieplej”,
mówi do nas Pani Paulin.
Tutaj również oporność administracji
opóźniła ich wprowadzenie się do mieszkania.

„Zakwateruj ich w takim razie u mnie, mówię do Binii, jednej z wolontariuszek.
ureguluje się ich sprawy po Świętach”.

Chciałam jeszcze zanieść zabawki rodzinie Lazare, którą wyrzucono.
Ale zgubiłam ich ślad, szukam na próżno,
a moje dzieci się nieciepliwią...
Trzeba jeszcze odwiedzić Lucienne.
Nie ma już nic, ona która poprzedniego dnia, korzystając z okazji,
kiedy wszyscy byli na Bożonarodzeniowej wigilii,
opychała dzieci ciastkami aż się popłakały,
bo wiedziała, że nazajutrz nie będą mieli nic do jedzenia.

No i są jeszcze... są jeszcze...
Wyciągam za sobą dzieci, wyjeżdżamy,
uciekam od od Bożego Narodzenia, od Świąt wszystkich poszkodowanych,
gdyż moje serce jest za małe, i już dłużej nie dam rady go dźwigać.

Ludzie powiedzą sobie: tak dłużej już być nie może

„Uśmiechnij no się!”
mówiła do mnie cichutko matka,
gdy sama była pełna obaw
w obliczu ludzi, którzy robili na niej wrażenie lub ją niepokoiли.
Mój uśmiech był jej osłoną,
odnawiał jej siły gdy czuła się poniżona.
„Uśmiechnij no się!”
bo uśmiech dzieci zakrywa wszystkie cierpienia
i wszystkie wątpliwości świata.

W Indiach mówi się:
„Dziecko jest uśmiechem świata”, i jest to prawda!
Czyż dzieci nie są właśnie tymi,
którzy pozwalają nam dotrzeć do kogoś
kiedy rodziców już nie stać na to,
by żebrać i błagać?
Ich uśmiech kładzie kres wszelkim wyrzutom i pytaniom,
w tym jest ich siła –
ich dziecięca siła, która pozwala zaakceptować ich rodzinę.
Bawią się,
biegają,
dorastają w podupadłych dzielnicach,
na osiedlach wciśniętych między autostradą a fabryką.
Krzyczą za głośno,
sięją zamęt w klasie,
nie mogą spokojnie usiedzieć
czy zachowywać się cicho w kościele.
Spójrz jednak jak uśmiechają się do nas
gdy czują się przez nas kochane.

Czasami myślę sobie,
że jeśli świat dalej będzie tak wyglądał,
to dzieci nie będą już miały siły się uśmiechać.

A wtedy,
kto zakryje wstyd bezrobotnego ojca?
kto pozwoli zapomnieć matce
o trudnościach życia codziennego?
kto przypomni naszemu światu
że czułość jest cenniejsza od skuteczności i opłacalności?

Myślę o organizacjach krzewiących solidarność
coraz bardziej pozbawionych środków ze względu na kryzys.
Myślę o tych wszystkich, którzy zbyt pochłonięci tymi trudnymi czasami,
oddalają się w zakłopotaniu od najuboższych.
Gdybyśmy nie byli już w stanie zadbać o uśmiech dzieci,
bo nędza stałaby się już nie tylko bolesna

ale również bez wyjścia –
w jakim wtedy żylibyśmy świecie?

A wówczas,
w jaki sposób moglibyśmy w przyszłości
odnaleźć nadzieję, która się tam skrywała –
odczytać przesłanie, które ich uśmiechy do nas kierowały?
Jak mielibyśmy w przyszłości siłę się cieszyć?
jak mogłyby zaszczerpić w naszych sercach radość,
przypominać nam o sprawiedliwości
i zobowiązywać nas do odrzucenia nędzy?
Jak w dniu jutrzejszym zapewniłyby nas, że to w miłości jest przyszłość?

Pewne dziecko stwierdziło kiedyś:
„Jeśli ludzie usłyszą o tym, co musimy znosić,
powiedzą sobie,
że to niemożliwe, że tak dłużej już być nie może”.

Już niedługo będę duży

Nono patrzył na mnie spode łba, ze sporej odległości...
Dałem mu właśnie tabliczkę czekolady,
a on natychmiast uciekł.
Czy obawiał się, że zmienię zdanie i zabiorę mu ją?

Póki co podzielił czekoladę na dwa kawałki
i włożył jeden z nich do swojej kieszeni.
Bo dla Nono takie gratki trafiają się rzadko,
nie ma pewności, że dzisiaj będzie miał co jeść!
Dlatego ma kącik gdzie chowa to, co dostanie,
żeby podzielić się po kryjomu ze swoją siostrzyczką.

Oto właśnie zbliża się ona,
trzymając mocno konewkę bez sitka pełną po brzegi,
którą wlecze za sobą tuż nad ziemią.
Nono jak zwykle dzieli się,
wyciąga kawałek czekolady z kieszeni,
przełamuje go i daje jej większą część.

Teraz wszystko jest w porządku,
Nono już niczego się nie obawia, może z powrotem podejść do mnie,
czy też wrócić do sklepikarza,
dla którego robi zakupy,
żeby dostać parę groszy.

Tych pieniędzy nigdy nie zachowuje dla siebie,
oddaje je zawsze swojej matce.
Dla niego to normalne,
a jego mama jest tak bardzo potrzebująca,
że nie ma odwagi odmówić.
Cukierki i czekolada, to już co innego.
Chciałby wsunąć je jej do ręki,
ale ona zawsze mu je oddawała.

W przyszłości, kiedy będzie duży, będzie pamiętał o tym,
że przy stole zawsze najpierw obsługiwała dzieci.
Czasami nawet nic sobie nie nakładała,
śpiesząc się przy tej robocie aby dwójka dzieci
nie zauważyła, że ona nie ma nic do jedzenia.
Pewnego razu jednak Nono domyślił się
i poszedł tego dnia do szkoły,
nic nie biorąc i nic nie mówiąc!
Kiedy wrócił, długo po zakończonych lekcjach,
wręczył jej dziesięciofrankowy banknot.
Zaczerwieniła się, ale nie śmiała mu odmówić!
Nono zaś nie śmiał spojrzeć jej w oczy.

W tym momencie przypomniała sobie,
jak mąż zmuszał ją na targowisku do kradzieży,
aby dać jeść maluchom.
„Mój Boże, spraw aby nie został złodziejem!”

Dzisiaj mama Nono robi pranie u sąsiadek.
Jej ręce są zniekształcone przez reumatyzm,
bolą ją plecy;
złamana zmęczeniem, chodzi
pochylona do przodu jak staruszka!
Jej matka była taka sama!
Tak jak matka, musi ona liczyć każdy grosz,
żeby zaoszczędzić jakąś śmieszna sumę.

Bez przerwy krzyczy na Nono:
„Zgaś świtało!
posprzątaj swoje rzeczy!
podnieś swój chleb! Pocałuj go!”
bo należy ona do tego nieodległego jeszcze pokolenia,
obchodzącego się z chlebem, który upadł na ziemię, jak ze zranionym ptakiem.

Wciąż bez pieniędzy, wciąż z nieopłaconym czynszem.
Żyje ona z pożyczek, których udzielają jej sąsiadki,
dla których robi pranie,
i które wykorzystują to, by wydobyć z niej jeszcze więcej!

Pewnego dnia, w okolicach Bożego Narodzenia,
Nono zobaczył
na drzwiach baraku jednego z kolegów,
tak samo nieszczęśliwego jak on,
wiszącą na nitce lalkę z napisem „na sprzedaż”.
Tego wieczoru postanowił kupić ją dla swojej siostrzyczki.
Ale skąd wziąć pieniądze?
Sklepiarz miał za dużo roboty, żeby się nim zająć,
więc do kogo tu się zwrócić?
Włóczył się, tego ranka dnia 24 grudnia na targu,
oferując swoje usługi, podkradając coś to tu, to tam:
banany, nadpsute pomarańcze, trochę słodczy...
i wypychając nimi kieszenie!

Noc nadeszła wcześniej, jak zwykła to czynić w grudniu.
Matka i on niewiele się odzywali tego wieczoru.
Było zimno, ogień był już zgaszony,
trzeba było się kłaść!
Jednak Nono nie mógł spać.
O czym mogło myśleć dziecko,
które miało tyle marzeń, tyle nadziei!
Które uważało, że jego siostrzyczce należała się na Gwiazdkę
lalka z napisem „na sprzedaż”, wisząca
na drzwiach nieszczęśliwego kolegi!

Słyszał kroki przed barakiem i za nim,
słyszał też rozmowy i szczekanie psów...
To sąsiedzi udawali się na pasterkę
albo do kawiarni.

On, Nono, w ciemności przewracał się z jednego boku na drugi,
obok swojej siostry,
uważając by jej nie zbudzić.
Jednak ona także nie spała:
„Nono, nie śpisz?”
- Nie, a ty? O czym myślisz?
- O czym myślę? O Bożym Narodzeniu!”
W tym momencie,
znieczepiona i nieszczęśliwa mama zaczęła krzyżeć:
„Czy zamkniecie wy się tam wreszcie! Mam już dość tego!”
Nie był to głos rozgniewany ani choleryczny,
Nono dobrze o tym wiedział!
Rozpoznawał głos swojej matki kiedy ta właśnie płakała.

Wtedy, wstając po cichutku, podszedł do jej łóżka,
wśliznął się pod kołdrę
i wtulając się w nią, powiedział:
„Nie przejmuj się mamó, niedługo już będę duży!”

Kilka miesięcy później Nono oddano do domu dziecka, miał 9 lat.
To przy tej okazji matka opowiedziała mi o tym Bożym Narodzeniu,
stwierdzając: „Było ono najpiękniejsze ze wszystkich”.

Aby inni mogli żyć

Siedziała naprzeciw mnie, już nie płakała,
ale miała spuchnięte oczy,
a na jej ustach pojawił się nikły uśmiech.

Mówiła dalej:

„Nie dam rady tego ciągnąć..., brzydzą mnie,
już nie mogę na nich patrzeć...!”

Wobec takiego zwątpienia,
tak głębokiego zniechęcenia, którego ja sam przecież doświadczałem,
i które nawet dzisiaj czasami jeszcze mnie gnębi,
wiedziałem, że oczekuje ona jedynie mojego milczenia.

Już od dwudziestu lat pracowała w slumsach,
na prowizorycznych osiedlach,
i nie po raz pierwszy czuła zniechęcenie.
Zdarzało jej się to tak jak wszystkim wolontariuszom.
Ale tego dnia,
tym, co czuła ta czterdziestoletnia kobieta,
która oddała najlepszą część swego życia,
była prawdziwa rozpacz!

Chodziło nie tylko o to, że rodziny przeżywają cały czas
te same kłopoty finansowe,
że wieczorem upokorzeni mężczyźni mszczą się na swych bliskich,
a dzieci wracają z płaczem ze szkoły,
bo w drodze wyzywa się ich od...
Chodziło nie tylko o młodych, którzy
przesiadują całymi godzinami
na schodach piwnicznych,
nie widząc dla siebie żadnej przyszłości,
ale tym razem została ona spoliczkowana,
a człowiek, który to zrobił rzucił jej w twarz:
„Wy z tego ATD, nie potraficie
nigdy pójść na całość!”

Policzek i zniewaga pochodziły od poniżonego człowieka,
tak bardzo nieszczęśliwego, że nie mógł znieść jakiegokolwiek
bezinteresownego spojrzenia, słowa czy nawet gestu!

Co teraz zrobimy, co zamierzasz zrobić? – spytałem się jej.
- Uciec! Wyjechać, zapomnieć...”

Wtedy zacząłem jej mówić o Afryce, o dzieciach ulicy
żyjących daleko od swoich wiosek, od swoich rodziców,
które muszą pracować, kraść i stosować różne podstępny aby przeżyć,
które śpią pod stołami targowymi albo na plaży.
Przypomniałem jej, że tam również dorastają ci, którzy –

przeżywszy nieszczęśliwe dzieciństwo –
jako ludzie młodzi czy dorośli odrzuca wyciągniętą dłoń,
którzy uderzą, ponieważ nie będą w stanie
uwierzyć, że ktoś
gotów jest pójść z nimi na całość...

W pewnym momencie to ona przerwała ciszę:
„Jednym słowem chce ksiądz, żebym tam się udała!”
Po czym dodała:
„Zgoda, pojedę tam!”
- Kiedy? – zapytałem ją.
- Potrzebuję miesiąca żeby wziąć się w garść”.

Wtedy pomyślałem sobie, że umieranie i rodzenie się na nowo,
to nie jakaś odległa historia.
Czyż śmierć i zmartwychwstanie nie polegają właśnie,
dla każdego z nas,
na tym, by nie rezygnować z pójścia na całość,
aby inni mogli żyć!

Jutro będzie wyglądało inaczej

Jak wypowiedzieć trwogę tych rodzin,
którym w samym środku zimy
urząd odciął gaz i prąd,
pozbawiając je wszelkiego źródła ciepła w domu?

W jednej z nich, najmniejsze dziecko ma zaledwie piętnaście dni.
Mamie nie udaje się go ogrzać w nocy.
W ciągu dnia to sąsiedzi przyjmują je
żeby miało ciepło.
Największe ma trzy lata.
Wczoraj, w domowym ziąbnie, mama musiała go wykąpać
w wodzie ledwie podgrzanej na palniku gazowym.
Dziecko płacze, trzęsie się z zimna i strachu.
Sąsiadka chciałaby je przytulić, uściskać bardzo mocno,
ale nie śmie, powiada,
ze względu na swoje własne dzieci:
„Są gotowe powiedzieć mi:
Puść go, jest brudny i czuć od niego!”

Prawdopodobnie ci, którzy odcinają prąd i gaz
nie myślą o tych rzeczach:
o wyziębionych dzieciach, o rozpaczach matek,
które nie mogą ogrzać swych dzieci,
które nie mogą przywitać z radością ojca,
po ciężkim dniu spędzonym na szukaniu pracy.

Tej zimy poznałem rodziny, u których
odcięto również dopływ wody.
I pamiętam Panią Planque, która nam mówiła:
„Nie mieliśmy ogrzewania ani prądu,
ale jeszcze jakoś się trzymaliśmy.
W dniu, w którym odcięto nam wodę, to był już koniec,
nie mogliśmy upaść już niżej”.

Kiedy brakuje wody,
czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie popłoch matek,
które nie mogą już kąpać dzieci,
opróżniać toalet, gotować?
„Nie można przecież jeść samych kanapek!”
stwierdziła w swoim nieszczęściu pewna kobieta.
No i jak zmywać naczynia,
robić pranie i sprzątać dom?
Przede wszystkim jednak, jak samemu zachować czystość
i dobrze czuć się we własnej skórze?

Na sąsiednim osiedlu, pewna kobieta,
zmylona ładną pogodą,

mówiła do mnie w tej końcówce stycznia:
„Teraz kiedy przyszła wiosna, będzie już lżej”.
Ta matka szczerze wierzyła,
że wróciły ciepłe dni;
pragnęła tego.
Świat nędzy zawsze wierzy, że jutro będzie wyglądało inaczej.
I ja z nim także w to wierzę.

Przebaczyć, niech ksiądz mi wierzy, jest bardzo trudno

W ostatnich miesiącach
na skrzyżowaniu ulicy Cadet
i bulwaru Montmartre w Paryżu,
młode kobiety w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat
grzebały w pobliżu targowiska
w stosie porzucanych kartonów.
Jedna z nich wyjęła stamtąd dwa nadgryzione placki
i pośpiesznie wsunęła je do torby.
Wkrótce dołączyły do niej dwa maluchy,
między którymi podzieliła jedno z ciastek.

Byłem tak poruszony, że nie byłem w stanie wyrzec słowa!
Stanęły mi też przed oczyma te dzieciaki,
które w latach sześćdziesiątych,
w obozie Noisy-le-Grand,
również szukały po śmietnikach czegoś do jedzenia.
Przypomniałem sobie o tych chłopcach, którzy sprzedawali swoje kulki,
żeby kupić chleb na urodziny ich matki.
Myślałem, że już nigdy więcej czegoś takiego nie zobaczę.
A oto jakaś mama
karmiła dwoje swoich dzieci nadpsutymi plackami.

Nie przyszło mi również do głowy,
że będę świadkiem, w tym wrześniu 1984 roku,
koszmaru czwórki małych dzieci od ośmiu miesięcy do ośmiu lat,
których wygnano z obszaru miejskiego!
Stało się to wczoraj rano.
Ich rodzina schroniła się tam w lipcu,
pod namiotem, którego im użyczono.
Ani mer gminy,
ani pracowniczka socjalna,
ani prefekt niczego dla nich nie zrobili.
Oprócz, rzecz jasna, odebrania dzieci
do czasu kiedy sprawy się ułożą.

Jednak w Czwartym Świecie dzieją się nie tylko przykre rzeczy.
Można tam znaleźć pokój i przebaczenie, które są mocniejsze od nędzy.
I tak widzę ponownie tego człowieka,
napotkanego na cmentarzu w sierpniu tego roku.
Jego dziewięcioletnią córkę potrącił samochód,
gdy szła chodnikiem.
Dziecko zmarło.
Po pogrzebie ojciec powiedział do mnie:
„Rozumie ksiądz, chciałem udusić tego łajdaka,
który zabił moją córkę!
Ale kiedy przyszedłem na komisariat
i zobaczyłem, że kobieta, która spowodowała wypadek,

jest osobą niepełnosprawną,
nic nie potrafiłem jej powiedzieć.
Pomyślałem, że dla niej także
zabicie mojego dziecka musiało być czymś strasznym.
Rozpłakaliśmy się razem
i powiedziałem sobie, że trzeba umieć przebaczać.
Ale, niech ksiądz mi wierzy, to jest bardzo trudne!”

Niech nigdy więcej martwy ptaszek nie będzie znakiem nieszczęścia

Jest takie wydarzenie z mojego dzieciństwa,
które znalazło głęboki oddźwięk w moim życiu.
Było to w czasach, kiedy zaciążyła nad nami nędza.
Jakie były jej przyczyny?
Obecnie już ich nie znam:
pogrzebane zostały wraz z tyloma innymi wspomnieniami
na dnie mojej świadomości dorosłego człowieka,
splatając się z tysiącem różnych spraw,
które pozostają w nas żywe,
a które nazywamy żalem, cierpieniem, zdumieniem czy rozpaczą.

To, co zostało i co często powraca,
przypominając mi o dziecięcych niepokojach, to martwy ptaszek.
Był to szczygieł.
Ja i mój brat wzięliśmy go ze sobą
pewnego ranka po mszy, do której służyłem,
odkąd skończyłem pięć lat, tak zimą jak i latem,
w dole ulicy Brault,
w tym miejscu gdzie wzbierająca rzeka Maine,
której wody napępniały ścieki,
zalewała ogrody i niskie budynki klasztoru Dobrego Pasterza.

Ptaszek ten prawdopodobnie uciekł z jakiejś klatki.
Był ranny i dał się wziąć do rąk nie stawiając żadnego oporu.
Stał się naszym przyjacielem bez okazywania czegokolwiek, bez jakiegokolwiek wylewności,
tak jak ubodzy, którzy coś otrzymują i nie wiedzą
jak się zachować, żeby podziękować.

Nadeszły zatem dni, w których byliśmy wszyscy bardzo nieszczęśliwi.
Mama zaniedbała porządek w naszym domu,
któremu do tej pory nie pozwalała zamienić się w jakąś rudę:
„Sprzątnij to, sprzątnij tamto, pozamiataj, przesuń się bo wycieram stół...”
Jedyny stół, na którym przyrządzała warzywa, posiłki,
składała naczynia, nakrywała,
gdzie wieczorem odrabialiśmy lekcje
i gdzie czytaliśmy, – co też ją denerwowało:
„Długo będziesz jeszcze czytał kiedy jest tyle pracy?”

Biedna matka! Po wieczornym posiłku i w czwartki,
wkładaliśmy nasz przydział papieru tytoniowego Zig-Zag
do pudełka kartonowego, aby zarobić wspólnie trochę pieniędzy.
Czy to właśnie od tamtego czasu mam obrzydzenie do tytoniu
i do wszystkiego co się z nim wiąże?

Otóż w tamtych dniach nie wykonywaliśmy już nawet tej pracy.
Wieczorem siedzieliśmy tam,

przed pójściem spać, nie śmiąc wypowiedzieć słowa,
tak jakby nasz głos miał spowodować kolejne katastrofy.
Czy chodziliśmy jeszcze do szkoły? Sam już nie wiem.
Pamiętam tylko mojego młodszego brata Martina,
który cały czas tylko płakał.
Wydawało się, że czas zatrzymał się dla nas w miejscu,
że nic się już nie liczyło.
Żyliśmy tak, jakbyśmy byli martwi,
z dnia na dzień.

Ile czasu to trwało?
Prawdopodobnie niewiele, ale było to przeżycie tak silne i straszne,
że w mojej pamięci zajmuje wyjątkowo dużo miejsca.
Tak, prawdopodobnie trwało to jedynie kilka dni.
Inaczej dzieci, którymi byliśmy, mimo wszystko by nie wytrzymały,
i ucieklibyśmy od cierpienia mamy.
Być może zresztą
uciekaliśmy od niego czasami.

Aż wreszcie pewnego dnia słońce wyszło ponownie,
w tym pokoju, w którym żyliśmy,
i który mrok ogarniał nawet latem o czwartej godzinie.
W jaki sposób pojawiło się słońce?
Czy stało się to za sprawą jakiejś dobrej nowiny, jakiegoś datku, dobrego słowa?
Już nie pamiętam.
Ale czas znowu zaczął biec swoim torem,
życie spokojnie wracało do normy, wszystko stawało się jak przedtem.

To właśnie wtedy zauważyliśmy,
że ptaszek już nie śpiewał.
Spoglądaliśmy w milczeniu na klatkę,
w stronę naszego przyjaciela, wobec którego czuliśmy się winni zaniedbania.
Dlaczego opuściliśmy go?
Czy dlatego, że w tym czasie strapienia,
nie mógł przynieść nam żadnej korzyści?
Czyż raczej nie dlatego,
że kiedy ból jest zbyt duży,
wszystko zatrzymuje się w miejscu – czas, uczucia, Pan Bóg:
„Gdyby On istniał! Albo nie, lepiej żeby Go nie było,
bo musielibyśmy Go przeklinać”,
mówiła do mnie Pani Duburguois.

Tymczasem ptaszek zmarł.
Umarł z głodu,
dla niego również życie się zatrzymało, zapomnieliśmy o nim.
Tak jak zapomnieliśmy o myciu,
jedzeniu, rozmowie czy modlitwie.

Wyglądało na to, że czas nieszczęść minął,
ale wszystko musiało powrócić na swoje miejsce.

Mama musiała stopniowo
przyjąć na nowo swoją rolę spokojnej, pewnej siebie matki.
Wszystkie rzeczy musiały powrócić na swoje miejsce.
W relacjach z sąsiadami,
jeśli naszej matce zdarzyło się wypowiedzieć o kilka słów za dużo,
musiała je po mału odwoływać.
Nawet w stosunkach ze swoimi dziećmi,
złość i niezrozumienie, które w tym czasie się zrodziły,
musiały zostać puszczane w niepamięć.

My także zaczęliśmy znowu chodzić do szkoły
i na mszę poranną.
Wzięliśmy się z powrotem za swoje Zig-Zagi.
Nie mogliśmy zapominać o pacierzu.
Musieliśmy się myć i pilnować porządku na stole.
Trzeba było wrócić do niegdysiejszego życia.

Czy jednak możliwy jest taki powrót,
kiedy podobne okoliczności wracają nazbyt często,
jak to jest w przypadku ubogich?
Jak zaczynać wciąż od nowa
po tych przestojach w czasie,
których symbol pozostał w mojej pamięci
w tym martwym ptaszku w środku klatki,
z nóżkami zwiniętymi w powietrzu,
jakby były namacalnymi znakami tych nieszczęść,
które ledwie minęły, a znów powracały.

Kiedy czas bez przerwy gwałtownie się zatrzymuje,
a wydarzenia pozostawiają tak głębokie ślady,
czy można oceniać sprawy i ludzi
tak jak wszyscy inni,
nadrabiać stracony czas,
wszystko sprzątać i układać na nowo?
Czy można wtedy wierzyć w jakiś ład w życiu,
czy można w ogóle budować je i przeżywać?
O ile nie znajdują się przy tobie bardzo kochający ludzie –
nie sądzę.

Pisząc te ostatnie słowa, nie mogłem powstrzymać się
od pomyślenia o miłości, którą Chrystus ofiarował ubogim.
Aby mogli ją z Nim dzielić, utożsamiał się z nimi,
uczynił się obecnym w ich życiu,
uczestniczył w ich kondycji.
W ten sposób On, Przedwieczny, wszedł w to, co czasowe.
On również doświadczył, jak czas staje w miejscu,
gdy przeżywamy dramaty, klęski
i nieustające obawy.
Stał się On jakby martwy w teraźniejszości nędzarzy.
Poprzez każdy dramat, każdą klęskę,

poprzez ataki i ciosy poniżej pasa,
utożsamiał się jeszcze bardziej z biednymi,
aż wreszcie na Golgocie
stał się pierwszym spośród cierpiących.
To w tej godzinie miłość zwyciężyła nędzę,
a ubodzy zostali wprowadzeni do wieczności.
To dlatego od tej pory – na ziemi jak w niebie –
Chrystus nigdy już nie będzie sam:
przyjąć Jego oznaczać będzie przyjąć ich wszystkich,
pomagać Jemu – pomagać im wszystkim, kochać Go – kochać ich wszystkich.

Przyjaciele, kimkolwiek jesteśmy, głosimy miłość.
Wiemy, że tylko ona przyniesie
nowy czas dla nieszczęśliwych,
i że dzięki niej pewien człowiek, już podeszły w latach, nigdy więcej
nie zapomni jak w pewnym dniu pełnym strapienia,
czas się zatrzymał dla niego i dla jego bliskich,
a znakiem tego wstrzymania stał się martwy ptaszek.